

TYGODNIK POWSZECHNY
31-007 KRAKÓW
ul. Wiślna 12

Nr z dn.

47 23-11-97

665 Teatr

Radość ssaka

PAWEŁ GŁOWACKI

być sobie jednym/taki traf mi się
Miron Białoszewski

Pan Biedermann siedzi w fotelu i pali ulubione cygaro. Chwila, dwie chwile, pięć – i nic. Siedzi i pali. Po drugiej zaś stronie rampy zwarty zastęp nieustrudzonych poszukiwaczy podtekstów wyciągnął już swoje dłućka i przystąpił do patriotycznego dłućkania. Z faktu bowiem, że „Biedermanna i podpalaczy” wyreżyserował Mikołaj Grabowski, tylko jedno może wynikać. Polska mianowicie oraz drażnienie aktualnej kondycji duszy Polaka. Max Frisch zatem – jak zresztą wszystko, czego się Grabowski tknie – również musi być o nas. Ergo – harcerze muszą dłućkać.

Przeciwko czemu nadwiślańskiemu on tak siedzi? Cisza. W jakiej patriotycznej sprawie pali? Znowu cisza. Czy dym cygara jest gorzką aluzją do naszych nieuleczalnie zadymionych polskich dusz? Cisza zaczyna harcerzy uwierać. A cygaro? Czy jego długość nie jest aby szyderstwem z mizerności wciąż aktualnego myślenia sarmackiego? Zero, pustka, rozpacz. Męska rozpacz prawdziwego harcerza, który nie jest w stanie pojąć, jak to się mogło stać, że dłućka, którym wcześniej był w stanie dodłućkać się ojczyźnie choćby w kiju od szczotki, niniejszym – wymięka. No, jak to się mogło stać, szanowny recenzencie o nastawieniu patriotyczno-umoralniającostadnym?

Otóż tak, że w siedzeniu i paleniu Biedermanna nie ma niczego poza tym, co jest. Po prostu. Biedermann siedzi i pali, gdyż akurat tak mu się podoba, nie zaś po to, by dać coś głębinnego do zrozumienia. Ba! Cały spektakl jest taki właśnie.

W zalewie żalostnej, mniej lub bardziej skrytej publicystyki teatralnej wreszcie pojawiło się dziełko, które nikogo nie poucza, jak żyć. Widz nie musi tutaj być prawidłowym obywatelem-Polakiem. Może spokojnie pozostać – jak mawiał Białoszewski – tylko ssakiem. Na domiar wychnienia – ssakiem najzupelniej prywatnym.

Ssak zatem, na swój pojedynczy, intymny rachunek, ogląda smutną historię pana Biedermanna – innego ssaka, równie pojedynczego, reprezentującego przede wszystkim siebie. I dokładnie dlatego ssak zaczyna wierzyć ssakowi. Oto w mieście wybuchają pożary. Nikt nic nie wie, każdy boi się wszystkich, wszyscy – każdego. Z dnia na dzień strach pęcznieje. Zastawia się okna, rygluje drzwi, przyciemnia światła. Ludzie udają nieobecność, przechodzą w szept. I zgrywają się na normalność. Pan Biedermann siedzi i pali ulubione cygaro. Wspaniały obrazek, tyle że w salonie nawet dym z cygara ma nerwy na wierzchu. I naraz – puk, puk. To wystarcza. Pan Biedermann zaczyna się kruszyć. Dziwni panowie przyszli prosić o gościnę na stryszk. I gościna będzie im dana. Tak właśnie, gdyż Biedermann stosuje klasyczny manewr człowieka pragnącego przeżyć – o sekundę za długo odwołuje definitywne „nie”. Reszta okaże się prostą konsekwencją tej sekundy. Biedermann będzie próbował udomowić gości, ośwoić ich, jak się oswaja kota. Lub śmierć. Czyli bez efektów. Od czasu do czasu pogada z panami, zaprzyjaźni ich z żoną, zaprosi na wystawną, gorącą kolację, pełną wina i elegancji. I nie uwierzy w oczywistości. Prawdę weźmie za żart, dowcip – za istotę

sprawy. Od początkowego puk-puk aż do finałowego „proszę” Biedermann sam ze sobą bawić się będzie w kotka i myszkę. A oni okażą się niezmiennie wspaniali. Delikatni, grzeczni, wszechstronni psychologicznie, wytrawni gracze. Jak każde inteligentne zło. Ulepią sobie Biedermanna wedle własnych potrzeb. Na koniec, gdy kolejny pożar będzie już przygotowany, poproszą gospodarza o zapalniczki. I te – jak niegdyś gościna – będą im dane. Nad zapalniczkami padnie sakramentalne „proszę”. Panowie udadzą się do swoich spraw. W salonie pozostaną resztki pieczonego drobiu. Oraz pan Biedermann wpatrzony głęboko w oczy pani Biedermann.

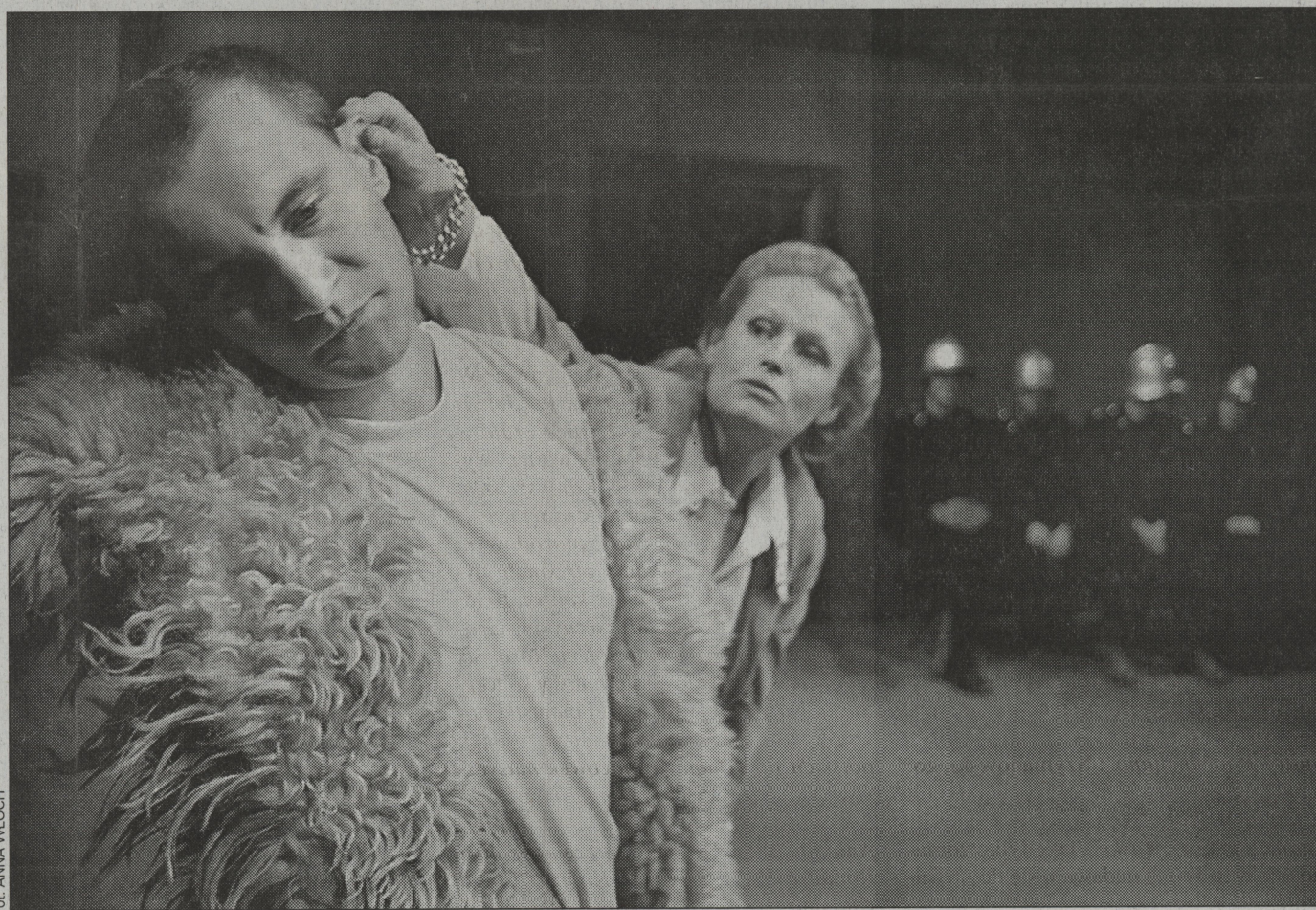
Czyżby moralitet? Wolne żarty! Moralitet to królestwo tez, pedagogiki, to pouczanie, jak żyć. Moralitet to nuda oczywistości. Moralitet to dawny Grabowski – specjalista od teatralnej ex-cathedralności, wymachiwania linijką, stawiania pał z polskości i z wad narodowych, od chłostania rodaków za wszystko i za nic. W „Biedermannie...” Grabowski schodzi z mównicy. Odrzuca plakatość, rezygnuje z poetyki publicystycznego kabaretu, ucieka z ulicy. Wraca do teatru. Do delikatnego, wyzbytego nachalności teatru. W „Zdradzonych testamentach” Milan Kundera pisze o powieści, iż jest: „terytorium, na którym osąd moralny jest zawieszony. Zawieszenie osądu moralnego nie jest niemoralnością powieści, jest jej moralnością. Moralnością, która przeciwstawia się nieugiętemu ludzkiemu zwyczajowi sądenia natychmiast i bez zrozumienia”. Gdy zastąpimy powieść

teatrem, będziemy wiedzieć, czym jest dobry teatr. Będziemy zarazem w samym środku przedstawienia Grabowskiego, czyli w teatrze, który nie rozwiązuje, lecz stawia problemy, daje do myślenia. Ssak zaś niechaj martwi się dalej sam.

Grabowski rezygnuje nie tylko z mównicy. Rezygnuje – co o wiele ważniejsze – z dawnego aktorstwa, że tak powiem, futerałowego. Futerał, na skrzypce choćby, to forma, która reprezentuje wszystkie skrzypce świata. To piękne – i smutne zarazem. Nikt jeszcze nie zagrał na futerał. Dawniej aktorzy Grabowskiego grali futerały. Jak miała być – na ten przykład jedynie – baba, to baby nie było. Za to była na scenie idea baby jako takiej, stąpała baba w ogóle, baba wzorzec, baba wielokrotna fuzja wszystkich polskich bab, baba papier, baba forma, baba, której nie dało się uszczypnąć. A co komu po babie nieuszczypniętej? I jaki właściwie sens przemycić można na krawędziach ludzkich futerałów? Problemem „Biedermanna...” jest problem źródeł zła, granic moralnego relatywizmu i ich rozciągłości. Problemem jest pytanie, jak dalece i czy w ogóle możemy omijać prawdę, gdy w grę wchodzi życie. Ssak zabierze to pytanie do domu jako swoje. Uwierzy w jego realność. Tak jest zawsze, gdy teatr operuje ludzkim konkretem, gdy podniebne idee przyszywa do pojedynczych ciał. Z futerałów wyskoczyły Grabowskiemu indywidua i odtarńczyły problem. I to jak! Aż chce się myśleć. Oraz pochwalnie przepisać afisz, co przecież nie ma sensu.

Nie ma sensu choćby dlatego, że w istocie tyleż tutaj o spektakl jako taki chodzi, co raczej o jego, by tak rzec, dziwaczność na tle tendencji ogólnej. Jest bowiem jakoś tak, że dziś z teatru coraz trudniej wyjść o własnych siłach. Muszą pomagać rodacy. Powoli snuć się zaczyna mgła kolejnej wersji tzw. wielkiego zbiorowego obowiązku. Że niby wspólnie winniśmy odczuwać, działać, odbierać, pracować nad sobą i analizować aktualny stan polskości na tym łez padole. Na przykład – stan bezpieczeństwa w parkach lub też poziom telewizyjnych „Dziadów” w reż. Jana Englerta. Dlaczego wspólnie? Bo w kupie rażniej oraz ambitniej, gdyż ogólnospołecznie. Stadna tendencja w naszych teatrach przejawia się głównie w sferze estetyki. Niestety. Coraz częściej mówi się do nas w klimacie dojmująco bezcielesnej 2. os. l. mn. Wy. A tu nagle Mikołaj Grabowski, który robi niezłego psikusa! Mówi do nas, czyli do każdego ssaka z osobna – on, wielki bard nadwiślańskiej zbiorowości – w 2. os. l. poj. T y, mówi. I ssak słucha. Słucha nawet pomimo nieszczytnego, dziejącego się w piekle epilogu, który to epilog Grabowski powinien zlikwidować jak najprędzej. Byłoby czyściej, gdyby spektakl kończył obraz ludzkich galarret, wpatrujących się w siebie nad zimną już kaczka.

Teatr im. J. Słowackiego Scena Miniatura. Max Frisch „Biedermann i podpalacze”, reż. Mikołaj Grabowski, scen. Krzysztof Tyszkiewicz, muz. Józef Rychlik.



FOR ANNA WŁOCH